

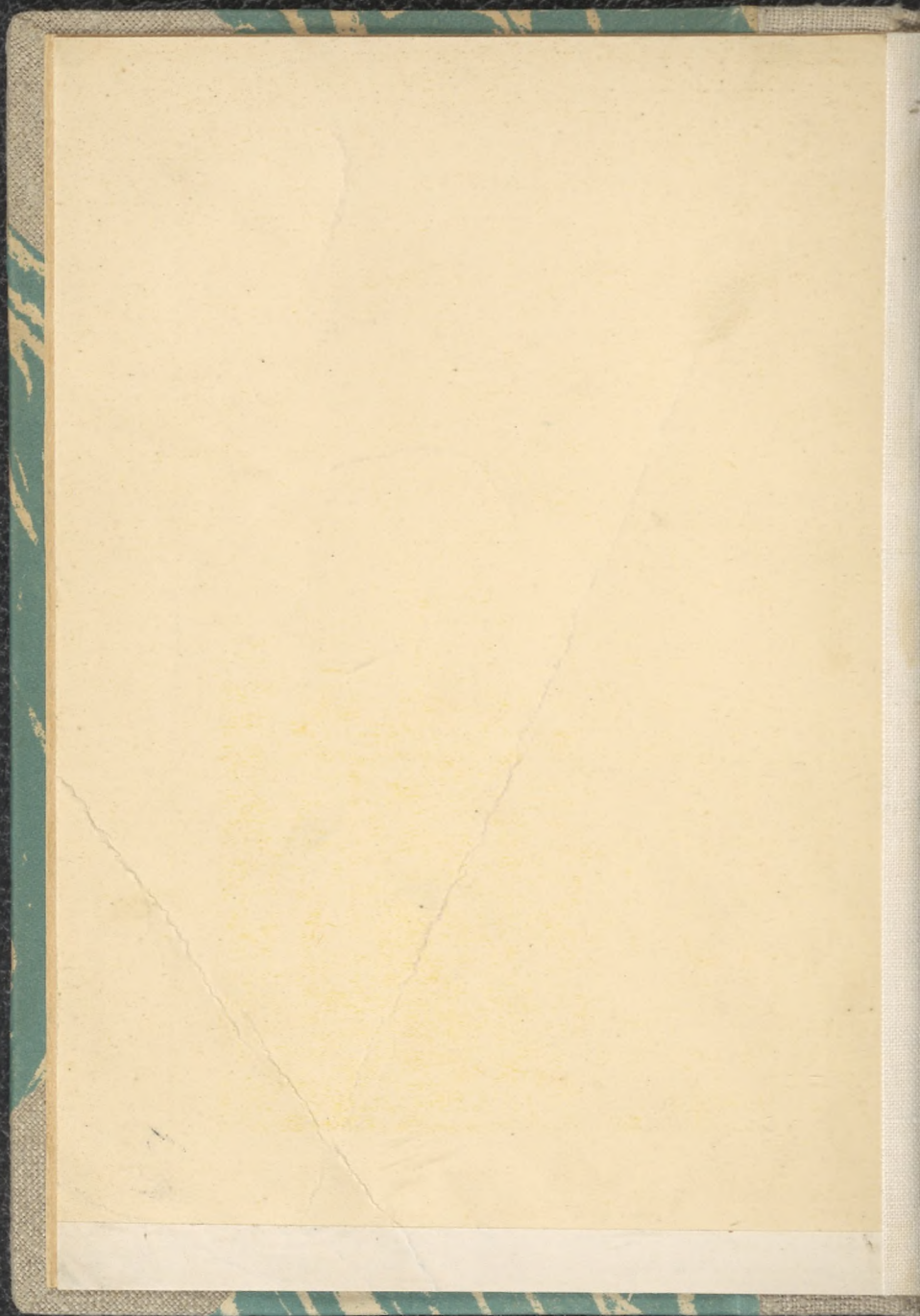
I. 410.582

Książę Świniarek

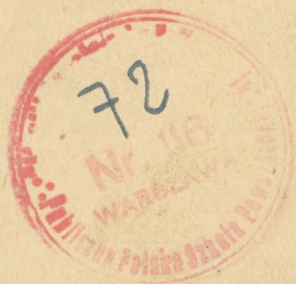


ORAZ INNE BAJKI
PRZEŁOŻYŁ

FR. MIRANDOLA



72.



[1128]

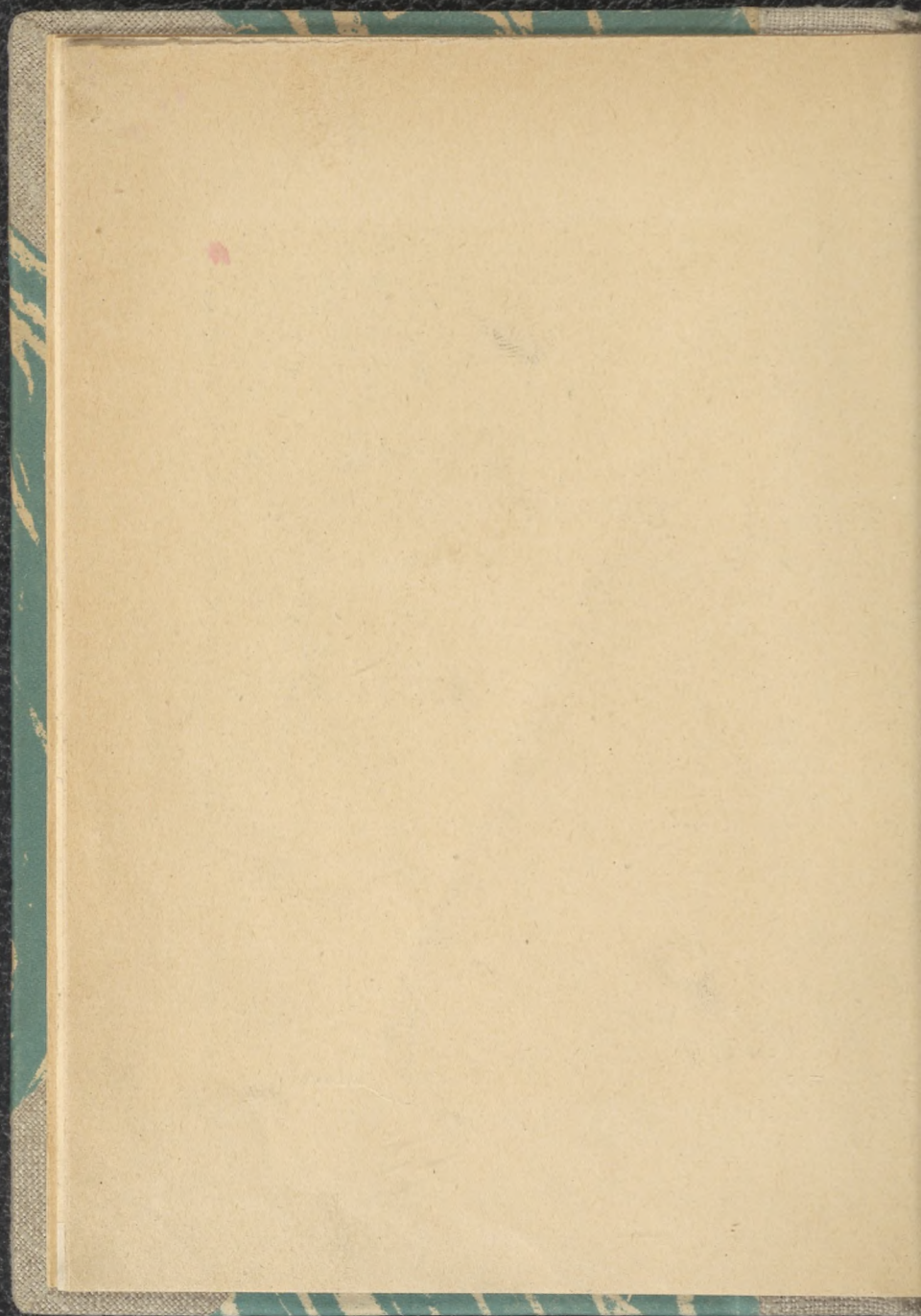
Jochang Fabras.

na Fuarasdag' gjeve

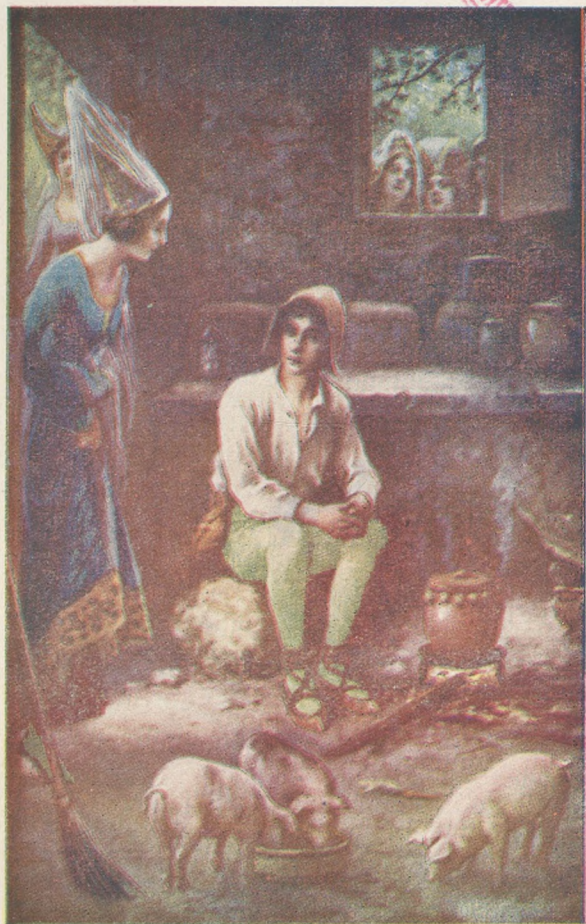
H-ve dnr: 24. III 41. 2.

KSIĄŻĘ ŚWINIAREK.





Nr. 116
WARSZAWA
Szkoła Politechniczna





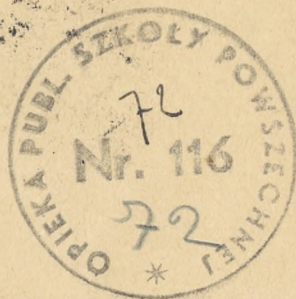
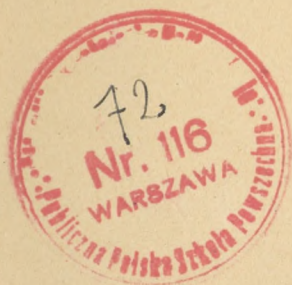
29 11

KSIAŻE ŚWINIAREK

ORAZ INNE BAJKI

PRZEŁOŻYŁ

FR. MIRANDOLA



WARSZAWA

KSIEGARNIA LITERACKA

15 11 19 81

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001005415734



I. 410.582

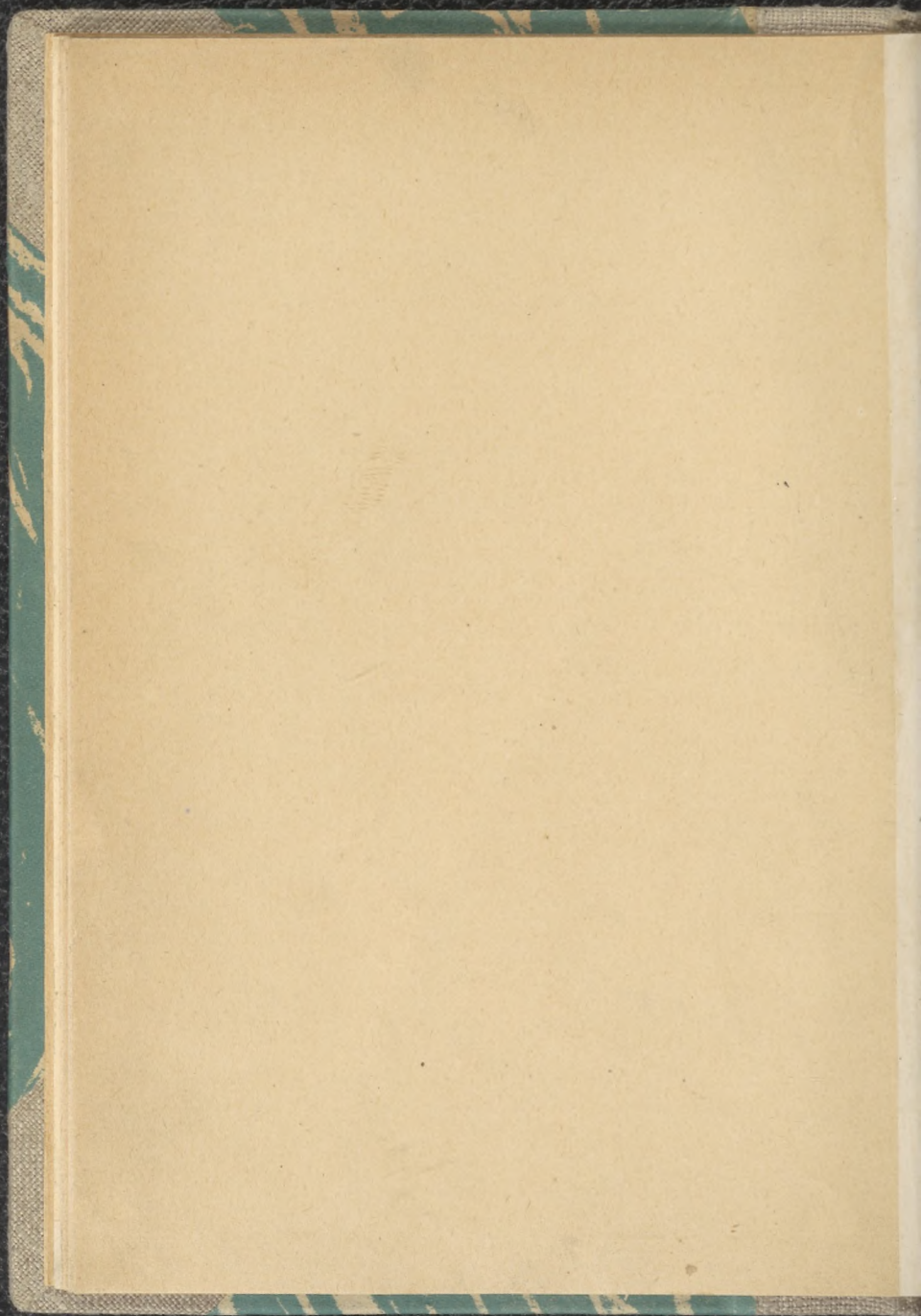
Drukarnia P. Brzeziński, Warszawa. Tel. 11.72.95.

st. 2.

SPIS RZECZY:

	str.
Książę Świniarek	9
Krzesiwo	20
Duży Maciek i Mały Maciek	35
Ziarnko Grochu	59
Nowe szaty Cesarza	62
Igła do cerowania	73





KSIĄŻĘ ŚWINIAREK.

Był sobie raz pewien książę. Księstwo miał niewielkie, ale dostateczne, by się ożenić i panować wraz z księżną. Właśnie też chciał to uczynić, jak mu się zaś powiodło — zobaczymy.

Sięgnął wysoko, bo spytał córki cesarza, czy go chce. Nie uczynił kroku zbyt zuchwałego, albowiem słynny był w całym świecie i wśród setek księżniczek mógł pozyskać żonę.

Co odpowiedziała córka cesarza?

Dowiemy się, ale trzeba zacząć od początku.

Na grobie zmarłego ojca owego księcia rósł przecudny krzak róży. Był to rzeczywiście krzak niezwykle. Wydawał kwiat raz tylko na pięć lat i to jedną, jedyną różę. Ale róża ta miała woń rozkoszną, od której nikły wszelkie troski i cierpienia

ludzkie. Książę miał też słowika, który śpiewał tak jak gdyby się w jego małym gardle mieściły wszystkie, najcudniejsze melodie świata.

Tę różę i tego słowika postanowił on dać córce cesarza. Kazał zrobić dwie srebrne szkatułki i posłał jej swe dary.

Cesarz kazał wnieść szkatułki do wielkiej sali, w której była cesarzówna, zabawiająca się z swymi damami dworskimi w ciuciubabkę. To była jej największa przyjemność. Zobaczywszy szkatułki, klasnęła w dłonie i zawołała:

— Pewnie są tam kotki!

Ale okazało się, że w jednej była róża.

— Slicznie zrobiona! — oświadczyły wszystkie damy dworskie.

— Prześliczna! Prześliczna po prostu!
— potwierdził cesarz.

Cesarzówna dotknęła róży i omal nie wybuchnęła płaczem.

— Fuj, papo! — zawołała. — Nie jest

to róża sztuczna, ale zwykła prawdziwa róża!

— Faj! — potwierdzili jednogłośnie dworacy. — To róża prawdziwa!

— Zobaczymy, co zawiera druga szkatułka, zanim zaczniemy się gniewać, — powiedział cesarz.

Dobyto słowika, a śpiewał on tak pięknie, że nikt z razu nie mógł rzec o nim nic złego.

— Superbe! Charmant! — zawołały dworki, albowiem mówiły wszystkie po francusku, jedna gorzej niż druga.

— Przypomina zupełnie grającą szkatułkę św. p. cesarzowej, — zauważył jeden stary dworak — ten sam ton, ta sama melodia.

— Ach tak! — potwierdził cesarz i rozplakał się, jak dziecko.

— Nie jest on chyba naturalny? — spytała cesarzówna.

— To ptak naturalny! — odparł poseł, który przywiózł dary.

— Niechże sobie tedy leci! — oświadczyła cesarzówna i, pod żadnym warunkiem, nie chciała zezwolić na przyjazd księcia.

Ale książę nie stracił otuchy. Natarł sobie twarz brunatną i czarną farbą, nasadził czapkę głęboko na oczy i udał się do cesarskiego zamku.

— Dzień dobry, cesarzu! — powiedział. — Możebym mógł u ciebie wstąpić do służby?

— Ach — rzekł cesarz — tylu ludzi Potrzeba mi właśnie kogoś do paszenia świń dworskich, których posiadam bardzo dużo.

Książę został świniarkiem cesarskim i zamieszkał w nędznej lepiance obok chlewów. Siedział przez cały dzień, pracował, a pod wieczór ulepił śliczny mały garnuszek. U góry wokoło brzegu umieścił krąg dzwonek. Gdy woda wrzała, zgłasza się do mnie!... Ale zobaczymy...

dzwonki brzęczały, wygrywając znaną melodię:

Uciekła mi przepióreczka w proso,
A ja za nią nieboraczek, boso...

Ale najciekawsze było to, że kto położył dłoń na parze, dobywającej się z garnka, wiedział od razu, co kto gotuje na kuchni w całej okolicy. O, była to rzecz o wiele, zaiste, ciekawsza od róży.

Pewnego dnia przechodziła obok chatki świniarka cesarzówna, w otoczeniu swych dworek. Posłyszawszy melodię, uradowała się wielce i przystanąła. Tylko to jedno grać umiała i w dodatku jednym palcem.

— Ach! — zawołała. — Umiem grać „Uciekła mi przepióreczka“. Ten świniarek musi być wysoce wykształconym człowiekiem. Idźcie doń i spytajcie, ile kosztuje ten instrument.

Jedna z dam musiała wejść do chaty świniarka, ale przez ostrożność wdziała na swe pantofelki drewniane chodaki.



— Co chcesz za swój garnek? — spytała świniarka.

— Żądam dziesięciu calusów od córki cesarza! — odparł.

— Niechże Bóg zachowa! — zawołała dworka.

— Nie wezmę ani jednego mniej! — odrzekł świniarek

— Co powiedział? — spytała cesarzówna.

— Nie mogę tego doprawdy wyjawić, — odparła dworka. — To coś straszego!

— Więc szepnij mi do ucha! — rozkazała cesarzówna, a dama uczyniła to.

— Bezczelny człowiek! — krzyknęła cesarzówna i poszła dalej. Ale za chwilę usłyszała melodię i stanęła.

— Słuchaj! — rzekła do dworki. — Spytaj go, czy nie weźmie dziesięciu calusów od mych dam dworskich.

— O nie! — powiedział świniarek. —

Żądam dziesięciu całusów od samej cesarzówny! Inaczej nie dam garnka!

— Nieznośny człowiek! — oświadczyła cesarzówna. — Musicie mnie przynajmniej zasłonić, by nikt nas nie widział.

Damy dworskie obstały ją, rozpostarły sukie, świniarek otrzymał dziesięć całusów, a cesarzówna garnek.

Nastał szczęśliwy czas. Przez cały dzień, do późnej nocy, wrzała woda w garnku. Dowiedziano się, co kto gotował w całej stolicy od podkomorzego, aż do najbiedniejszego szewczyzny. Damy dworskie tańczyły i klaskały w dłonie.

— Wiemy, kto ma na obiad zupę migdałową i knedle! — wołały. — Wiemy, kto ma kaszę i kotlety cielece! Ach, jakże to dobrze, jak uroczo!

— Rzeczywiście uroczo! — przyznała ochmistrzyń.

— Trzymajcież język za zębami! — przykazała cesarzówna. — Wszakże jestem cesarską córką!

— Ani słówka nie piśniemy! — zaręczyły dworki.

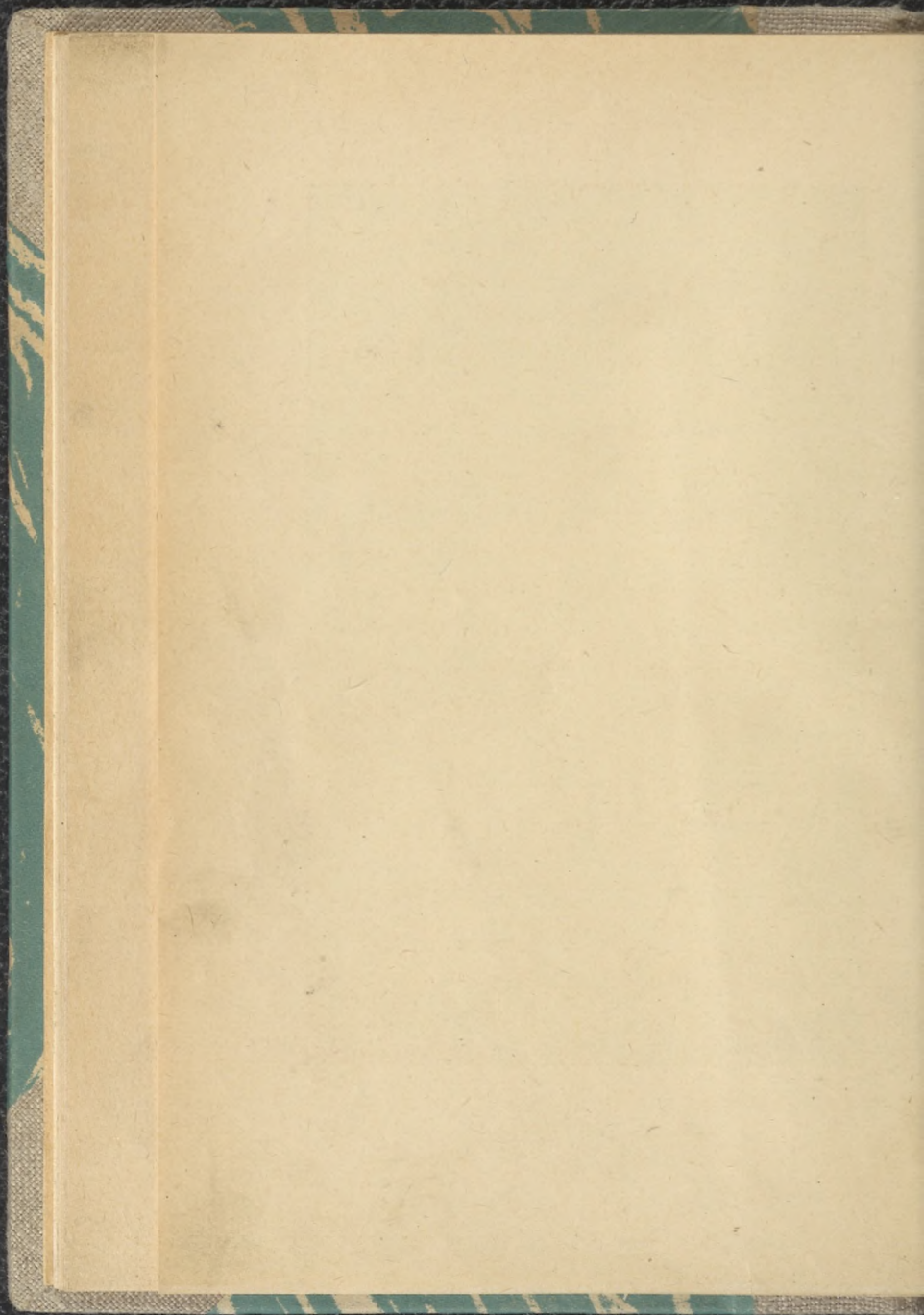
Tymczasem książę, to znaczy świniarek cesarski, pracował dalej pilnie i pewnego dnia sporządził drewnianą kołatkę. Kiedy się nią kołatało, rozbrzmiewały walce, opery, polki i wszystkie tańce, znane od początku świata.

— Ach, to pyszna rzecz! — rzekła raz przechodząc cesarzówna. — Nie słyszałam dotąd tak pięknej muzyki. Idźcież i spytajcie, co chce za ten instrument. Ale całusów nie daję! Pamiętajcie!

— Chcę sto całusów od cesarzówny! — oświadczył świniarek dworce, która przyszła pytać.

— Oszalał widocznie! — powiedziała cesarzówna i poszła dalej. Ale zaraz przystanąła i zauważyła: — Należy popierać sztukę! Wszakże jestem córką cesarza! Powiedzcież mu, że dostanie ode mnie dziesięć całusów. Resztę może sobie wziąć od moich dam dworskich.





— Ach! Nie mamy ochoty! — zawołały chórem.

— Głupstwo! — odparła cesarzówna. — Jeśli ja mogę całować, to i wam to nie zaszkodzi. Pamiętajcie przytym, że wam dają utrzymanie i pensje.

Nic nie pomogło. Jedna z dam musiała wejść do chaty i spytać.

— Sto całusów od cesarzówny, albo każdy z nas zatrzyma swoją własność! — powiedział świniarek stanowczo.

— Zasłońcież mnie! — rozkazała cesarzówna. Damy stanęły wokoło, a świniarek zaczął całować.

— Cóż to za zbiegowisko pod chlewami? — zdumiał się cesarz, patrząc z altany. Przetarł oczy i włożył okulary. — Acha! To damy dworskie wyprawiają znowu jakieś błazeństwa. Muszę zobaczyć!

Szybko wdział nowe pantofle, bo te, w których chodził po domu, były już rozdeptane i spadały z nóg.

Ach, jakże się spieszył.

Zszedłszy na podwórze, stąpał cicho, a damy dworskie były tak zajęte liczeniem całusów, że nic nie słyszały. Musiały pilnie baczyć, by rzecz odbyła się wedle sprawiedliwości i by nie chybiono w zapłacie. Żadna nie spostrzegła cesarza, który doszedłszy do nich, stanął na palcach i spojrział.

Ujrzawszy, że świniarek i córka jego całują się, zdjął szybko pantofel i zaczął bić, gdzie się dało, właśnie w chwili, gdy świniarek otrzymał osiemdziesiątyszósty całus.

— Precz! Precz! — zawołał rozgniewany, i wygnał z kraju zarówno świniarkę jak i córkę.

Znaleźli się oboje daleko. Cesarzówna płakała, świniarek spoglądał ponuro, a deszcz lał strumieniem.

— Ach, ja nieszczęsna! — zawodziła cesarzówna. — Szkoda, że nie wzięłam pięknego księcia. Cóż teraz pocznę?

Świniarek ukrył się za drzewo, tam startł farbę z twarzy, zrzucił nędzną odzież i wystąpił w szatach książęcych. Był tak piękny, że cesarzówna bezwiednie skłoniła mu się.

— Doprowadziłaś do tego — rzekł jej, — iż muszę tobą pogardzać. Nie chciałaś uczciwego księcia. Nie poznałaś się na słowiku i róży, natomiast świniarka całowałaś wzamian za marne zabawki. Zasłużyłaś na los, jaki cię spotkał!

Potem odszedł do swego księstwa, zamknął drzwi, zaryglował je dobrze, a ona została na polu i mogła śpiewać do woli:

— Uciekła mi przepióreczka w proso...

KRZESIWO.

Gościńcem maszerował żołnierz: Raz... dwa... raz... dwa.,, miał na plecach torni-ster i szablę u boku, bo właśnie wracał z wojny do domu. Wtem spotkał starą czarownicę. Była szkaradna. Dolna warga zwisała jej aż na pierś. Powiedziała doń:

— Jak się masz, żołnierzu? Śliczna ta twoja szabla i taki ogromny masz torni-ster na plecach. Prawdziwy z ciebie wojak! Czekaj, dam ci tyle złota, ile sam zapragniesz.

— Dzięki serdeczne, szkaradna czarownico! — odparł grzecznie żołnierz.

— Widzisz to stare drzewo? — spytała czarownica, wskazując stojącą u drogi wierzbę. — Wypróchniały ma cały pień. Wejdz na szczyt, a zobaczysz dziurę, którą będziesz mógł dostać się głęboko

pod ziemię, aż pod korzenie. Uwiążę cię na sznurze i wyciągnę na wierzch, gdy zawołasz.

— Po cóż mam tam iść? — spytał.

— Po pieniądze, — rzekła czarownica.

— Wiedz, że pod drzewem jest długi ganek, oświetlony stu lampami. Zobaczysz tam troje drzwi. Możesz je otworzyć, bo klucze tkwią w zamkach. We wnętrzu pierwszej komory zobaczysz na podłodze wielką skrzynię. Siedzi na niej pies, który ma oczy wielkie jak filiżanki, ale nie bój się go wcale. Dam ci fartuch w niebieską kratkę. Połóż go na ziemi, schwyć prędko psa, posadź go na fartuchu, otwórz skrzynię i weź tyle pieniędzy, ile chcesz. Są to miedziaki. Jeśli wolisz srebro, to idź do drugiej komory. Siedzi tam na skrzyni pies o oczach wielkich, jak kamienie młyńskie. Ale nie bój się go, posadź tylko na moim fartuchu i bierz srebro, ile ci się podoba. Złoto jest w trzeciej komorze. Pies, siedzący na skrzyni ma o-

czy, jak krągłe wieże. Jest to prawdziwy pies, ale nie bój się, nie zrobi ci nic, gdy go posadzisz na moim fartuchu, i będziesz mógł zabrać złota, ile tylko unieść zdołasz.

— Wcale to pojętne, — rzekł żołnierz.

— Ale powiedz, co chcesz za to wszystko?

— Niczego nie chcę, — powiedziała czarownica. — Nie chcę ani grosza. Masz mi tylko przynieść krzesiwo, zapomniane na dole przez moją babkę, gdy była tam po raz ostatni.

— Dobrze! — zdecydował żołnierz i przewiązał się sznurem.

Czarownica dała mu swój fartuch w niebieskie kratki. Wspiął się na wierzbę, zesunął na dół i stanął w długim chodniku, oświetlonym setką lamp.

Otworzył pierwsze drzwi. Uu! Zobaczył psa, wlepiającego weń oczy wielkie, jak filiżanki.

— Śliczny z ciebie psiak! — zawołał, posadził go na fartuchu czarownicy, napełnił kieszenie miedziakami, zamknął

skrzynię, wsadził psa z powrotem na wierzch i ruszył do drugiej komory.

Aj! Aj! Zobaczył tam psa z oczami jak kamienie młyńskie.

— Nie patrz się tak na mnie, bo możesz oślepnąć! — powiedział mu, posadził

go na fartuchu, zobaczywszy zaś srebro w skrzyni, wyrzucił miedziaki i nabrał

Przestraszył się w pierwszej chwili, bo rzeczywiście pies, siedzący na skrzyni, miał oczy podobne do dwóch krągłych wież, a obracały mu się one w głowie w sposób okropny.

— Dobry wieczór! — powiedział żołnierz i przyłożył palec do daszka czapki, bo nigdy psa takiego nie widział. Stał czas pewien salutując, ale potem powiedział sobie: — Dość tego! — zdjął psa na ziemię i otworzył skrzynię.

— Ach, mocny Boże! — krzyknął. —

Cóż za masa złota. Mógłbym za to kupić całą Kopenhagę, razem z wszystkimi cukierkami, piernikami, żołnierzami cynowymi, batami i końmi na biegunach. Mógłbym nawet może zakupić świat cały!

Wysypał srebro z kieszeni i tornistra i napełnił je złotem, sypiąc ponadto do czapki i butów tak że ledwo mógł chodzić. Miał mnóstwo złota. Posadził psa z powrotem na skrzyni, zamknął drzwi komory i zawołał, zwracając się ku wierzchołkowi drzewa:

— Wyciągnijże mnie teraz, kochana, śliczna czarownico!

— Czyś zabrał krzesiwo? — spytała.

— Naprawdę, całkiem o nim zapomniałem! — odkrzyknął. Potem wziął krzesiwo, a czarownica wyciągnęła go na wierzch. Stał wreszcie na gościńcu, mając pełno złota w kieszeniach, butach, tornistrze i czapce.

— Na cóż ci krzesiwo? — spytał czarownicy.

— Nie twoja rzecz! — powiedziała. — Masz złoto, oddaj mi teraz krzesiwo.

— Głupie gadanie! — odkrzyknął. — Mów mi zaraz, na co ci potrzebne krzesiwo, albo utnę ci głowę.

— Nie powiem! — oświadczyła czarowica.

Wówczas dobył żołnierz szabli i uciął jej głowę, a ona legła martwa na drodze. Rozłożył fartuch, wsypał weń złoto, zarzucił ten tobolek na ramię, wsadził krzesiwo w kieszeń i ruszył prosto do miasta.

Było to piękne miasto. Żołnierz poszedł do najpiękniejszej gospody i zażądał najpiękniejszego pokoju i potraw, jakie mu najlepiej smakowały. Był bogaty i mógł sobie na wszystko pozwolić.

Pachołkowi, który mu czyścił buty, wydało się dziwnym, że tak wielki pan nosi takie buty, ale żołnierz nie miał jeszcze czasu sprawić sobie nowych. Naza-

jutrz dopiero kupił piękne trzewiki i ubranie i stał się eleganckim młodzieńcem. Opowiadano mu o wspaniałościach miasta, o królu i ślicznej królownie.

— Gdzieżbym ją mógł zobaczyć? — spytał.

— Nikt jej nie ogląda! — powiedziano mu. — Siedzi zamknięta w pałacu z miedzi, otoczona murami i wieżami, a nikt prócz króla nie ma do niej przystępu. Istnieje proroctwo, że poślubi zwyczajnego żołnierza, a król nie chce do tego dopuścić.

— Chciałbym ją zobaczyć! — powiedział sobie żołnierz, ale nie uzyskał pozwolenia.

Żył sobie wesoło, bywał często w teatrze, jeździł po królewskim parku, oraz dawał biednym hojną jałmużnę. Czynił to, wiedząc z doświadczenia, jak to źle nie posiadać grosza. Był bogaty i pięknie ubrany, pozyskał tedy wielu przyjaciół, wszyscy go wychwalali, a jemu to spra-

wiało wielką przyjemność. Ponieważ jednak ciągle wydawał, a nie nie zarabiał, zostały mu jeszcze w końcu trzy grosze. Musiał opuścić piękny pokój, gdzie dotąd mieszkał i przenieść się na poddasze, a przyjaciele nie zachodzili już doń teraz, bo schodów było dużo, aż do jego izdebki, a to ich męczyło. Musiał także sam sobie czyścić trzewiki i zeszywać sztyłem, gdy się rozdarły.

Siedział tak samotny pewnego wieczoru, po ciemku, bo nie miał za co kupić świecy. Nagle przypomniał sobie krzesiwo czarownicy, w którym spodziewał się znaleźć jeszcze kawałek knota. Wziął je do ręki i skrzesał ognia. Nagle, ledwo błysły pierwsze iskierki, drzwi rozwarły się z trzaskiem i stanął w nich pies z oczami jak filizanki, którego widział w pierwszej komorze podziemnego korytarza.

Pies stanął w drzwiach i spytał:

— Co rozkaże mój pan?

— A to co?! — zdziwił się żołnierz. —

Dziwne zaprawdę mam krzesiwo. Widzę, że przy jego pomocy mogę otrzymać wszystko, czego zapagnę. Przynieś mi trochę pieniędzy! — rozkazał psu, a pies znikł i wrócił za chwilę z wielkim workiem pieniędzy w pysku.

Przekonał się tedy żołnierz, jak cudowne posiada narzędzie. Gdy raz skrzeszał ognia, zjawiał się pies, siedzący na skrzyni z miedziakami, gdy dwa razy potarł krzesiwo, przybył pies z srebrem, a za trzecim razem pies z złotem.

Żołnierz przeniósł się znowu do paradnych pokoi, przywdział piękne suknie, a przyjaciele przyznali się do niego na nowo i byli zeń dumni.

Pomyślał pewnego razu:

— Dziwna to rzecz, że nie mogę zobaczyć królowy! Podobno jest ona nadzwyczaj piękna. Ale cóż z tego, kiedy siedzi zamknięta w zamku z miedzi, otoczonym murami. Czyż jej nigdy nie ujrzę? Od czegoż mam moje krzesiwo?

Skrzesał ognia i zaraz stanął przed nim pies z oczami jak filiżanki.

— Jest wprawdzie noc, — powiedział mu żołnierz — ale mimo to radbym zobaczyć królownę, bodaj na małą chwileczkę.

Pies znikł, a za moment wrócił z królowną. Siedziała, śpiąc na grzbiecie psa, a była tak piękną, że każdy musiał w niej poznać prawdziwą królownę. Żołnierz nie mógł się przemóc, by jej nie pocałować, bo był on prawdziwym żołnierzem.

Pies oddalił się potem z królowną. Gdy nastał ranek, zasiadli król, królowa i królowna do śniadania. Pijąc kawę, opowiadała królowna rodzicom, że miała dziwny sen. Oto jechała w nocy na grzbiecie psa, a potem pocałował ją żołnierz.

— Ładna historia! Oburzyła się królowa.

Polecono jednej starej damie dworskiej czuwać przy łóżku królowny, aby stwierdzić, czy był to sen, czy może coś innego.

Żołnierz zapragnął także następnej nocy widzieć królowną. Pies porwał ją, ale stara dama wdziała kalosze i pobiegła za nim. Spostrzegłszy, że pies wpadł do jednego z domów, pomyślała:

— Już wiem, gdzie jest królowna.

Potem zrobiła na drzwiach domu kredą krzyż i poszła spać, a pies niedługo potem odniósł królowną do zamku. Pies zauważył jednak znak krzyża, zrobiony kredą na drzwiach domu, gdzie mieszkał żołnierz, wziął tedy także kawałek kredy i porobił znaki krzyża na wszystkich domach miasta. Mądrze postąpił pies, bo przez to stara dama nie mogła odnaleźć właściwego domu.

O wczesnym ranku zebrali się król, królowa, stara dama i wszyscy oficerowie, by zbadać, gdzie była w nocy królowna.

— Tutaj! — powiedział król, ujrzawszy pierwsze drzwi oznaczone krzyżem.

— Nie, tam, drogi mężulku! — rzekła królowa wskazując drugie.

— Patrzcie! — zawołali wszyscy. — I tu i tam mnóstwo krzyżyków po drzwiach domów.

Całe miasto było poznaczone i w końcu królestwo przekonali się, że wszelkie szukanie daremne.

Ale królowa była to mądra kobieta i umiała coś więcej, niż tylko jeździć w złotej karecie. Wzięła złote nożyczki, wykroiła z jedwabiu mały woreczek, zeszyła go, napełniła go kaszą pszenną, przytwierdziła królownie do pleców, a potem zrobiła w woreczku małą dziurę, tak że kasza sypiąc się, musiała naznaczyć całą drogę, jaką odbyła królowa.

W nocy zjawił się pies, porwał królową i zaniósł znowu żołnierzowi, który ją bardzo pokochał i żałował tylko, że nie jest księciem, by ją pojąć za żonę.

Pies nie zauważył, że kasza sypie się w czasie jazdy od zamku aż do mieszkania żołnierza, ale spostrzegli to nazajutrz król i królowa i wiedząc, u kogo była w

nocy córka, porwali biednego żołnierza i wtrącili do więzienia.

Siedział w ciemnym więzieniu i nudził się strasznie, przy tym doniesiono mu, że ma być powieszony. Nie sprawiło mu to radości. W dodatku zostawił w mieszkaniu w gospodzie owe czarodziejskie krzesiwo. Rankiem zobaczył przez małe okienko tłumy, spieszące na jego śmierć. Usłyszał też bicie bębnow i kroki maszerującego wojska. Pośród tłumy był pewien chłopak szewski w fartuchu i pantoflach. Pędził tak szybko na miejsce stracenia, że pantofel spadł mu z nogi i uderzył w mur w pobliżu okienka, przez które wyglądał właśnie skazaniec.

— Słuchajno, chłopcze! — zawołał nań żołnierz. — Niepotrzebnie się tak spieszysz. Póki ja nie przyjdę, nic z widowiska nie będzie. Dostaniesz cztery grosze, jeśli skoczysz do gospody, gdzie mieszkałem i przyniesiesz mi zapomniane krzesiwo. Ale leć co tchu, bo będzie za późno.

Chłopiec rad dostać cztery grosze, pomknął jak strzała, przyniósł krzesiwo i podał je żołnierzowi.

Co się potem stało, zobaczymy.

Poza miastem ustawiono wysoką szubienicę. Otoczyło ją wojsko i masy widzów. Król i królowa zasiedli na wspaniałych tronach, a naprzeciwko nich zebrali się sędziowie i radni państwa

Żołnierz stał już na najwyższym szczeblu drabiny i miano mu założyć stryczek na szyję. Nagle jednak poprosił, by spełniono, jak się to zawsze dzieje z największym nawet złoczyńcą, jego ostatnie, niewinne pragnienie. Chciał wypalić przed śmiercią fajkę, ostatnią fajkę w życiu.

Król nie chciał mu tego odmówić, więc żołnierz dobył krzesiwa i skrzesał ognia... raz... dwa... trzy.,, razy,

Nagle zjawiły się przed nim wszystkie zaczarowane psy

— Ratujcie mnie od szubienicy! — zawołał żołnierz.

Psy rzuciły się na sędziów i radnych, chwyciły ich za nogi, za gardła i rzucały w powietrze wysoko, tak że spadając, rozbiły się na miazgę.

— Nie chcę! — zawołał król. Ale czarodziejski pies porwał go wraz z królową i rzucił pod niebiosy wśród za innymi.

Żołnierze przestraszyli się, a lud zawołał:

— Drogi żołnierzu, bądź naszym królem i weź piękną królowę!

Posadzono żołnierza do karety królewskiej, a psy tańczyły wokoło niej i krzyczały: Hura! Ulicznicy gwizdali na palcach, a żołnierze prezentowali broń.

Potem wyszła królowa z miedzianego zamku i została królową, co ją wielce uradowało.

Wesele trwało tydzień, a psy siedziały także przy stole i przewracały ogromnymi oczami.

DUŻY MACIEK I MAŁY MACIEK.

W pewnej wsi żyło dwu ludzi, mających to samo imię. Obaj byli Maćki. Jeden miał cztery konie, drugi jedną tylko szkapinę. Dla odróżnienia nazywano posiadacza czterech koni wielkim Maćkiem, a właściciela szkapy małym Maćkiem.

Posłuchajmy, co im się przydarzyło, bo to prawdziwa historia.

Przez cały tydzień musiał mały Maciek orać pole wielkiego i pożyczać mu swego konia. Wzamian za to pomagał mu wielki Maciek swymi czterema, ale tylko raz w tygodniu i to w niedzielę. W niedzielę trząsał mały Maciek dziarsko z biczem i paradował piątką, bo w ten dzień wszystkie konie uważał za swoje.

Słońce świeciło, brzmiały dzwony z wszystkich wież, wzywając na nabożeństwo, a wystrojeni ludzie szli do kościoła

z książkami pod pachą patrzyli, na orzącego piątką koni, małego Maćka. Radowało go tak, że trzaskał z bicza i pokrzykiwał:

— Dalejże, dalej koniki moje!

— Nie mów tak, — ostrzegał go wielki Maciek. — Wszakże masz tylko jednego konia.

Ale ile razy ktoś przechodził, zapominał mały Maciek o wszystkim i powtarzał, trzaskając z bicza:

— Dalejże, dalej koniki moje!

— Zabraniam ci surowo!—zgromił go raz wielki Maciek. — Jeśli raz jeszcze powiesz te głupie słowa, palnę twego konia w łeb, tak że padnie na miejscu trupem.

— Nie powiem już tego nigdy, — przyrzekł mały Maciek. Ale gdy znowu zobaczył kogoś, kto go pozdrowił podczas orki, rozradował się bardzo tym, że uprawia swe pole aż piątką koni, trzasnął z bicza i zawołał:

— Dalejże, dalej koniki moje!

— Dam ja ci twoje koniki! — krzyknął wielki Maciek, wziął kół z płota i trzasnął tak mocno w łeb Maćkowego konia, że legł martwy.

— Już nie mam konia!! — płakał mały Maciek. Potem zdjął zeń skórę, wysuszył na wietrze, wsadził w worek i ruszył do miasta, by ją sprzedać.

Droga była daleka, wiodła przez ciemny, gęsty las, a przy tym pogoda nie dopisywała. Mały Maciek zabłądził i gdy odnalazł drogę, było już za późno iść do miasta, a także wracać do domu.

Tuż pod lasem była wielka zagroda chłopska. Okna przysłaniały okiennice, ale światło błyskało przez szpary.

— Może mi tu dadzą nocleg, — pomyślał Maciek i zapukał.

Gospodyni uchyliła drzwi, ale gdy powiedział, czego chce, odprawiła go, mówiąc, że męża w domu nie ma, a sama boi się nocować ludzi nieznanym.

— Muszę przenocować na polu, — po-

wiedział sobie, gdy mu drzwi przed nosem zatrzaśła.

Przed domem stała wielka sterta siana, pomiędzy nią a ścianą była szopa z płaskim dachem słomianym.

— Tam się położę, — rzekł sobie Maciek. — Doskonale mi tam będzie. Sądzę, — dodał, widząc bociana na gnieździe — że pan bociek nie ukąsi mnie w nogę.

Wylazł na wierzch szopy i legł, próbując, jak mu będzie najwygodniej spać.

Drewniane okiennice nie domykały się od góry, Maciek mógł tedy zajrzeć do izby.

Zobaczył stół nakryty obrusem, na nim zaś wino, pieczeń i wyśmienitą rybę. Gospodyni i kościelny siedzieli przy stole sami jedni. Ona mu dolewała wina, on zaś połykał łakomie wyborną rybkę.

— Ej, dobrzeby było skosztować tych smakołyków, — szepnął Maciek, wyciągając szyję. — Ach! Jest i babka! Jakaż śliczna, rumiana. To prawdziwa uczta!

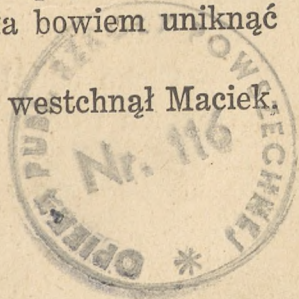
Nagle usłyszał, że ktoś zbliża się konno do zagrody. Był to mąż owej gospodyni, wracający do domu z miasta.

Gospodarz ten był to człek bardzo dobry, miał tylko tę słabostkę, że nie mógł znieść widoku kościelnego. Ile razy go ujrzał, wpadał w wściekłość i dlatego to pewnie kościelny wybrał się z wizytą wówczas, kiedy go nie było w domu. Dlatego też zapewne dobra gosposia chciała nakarmić biednego kościelnego wszystkim, co najlepszego miała.

Gdy posłyszeli tętent konia, przerazili się oboje wielce. Gospodyni, otwarła wielką, stojącą w kącie skrzynię, a kościelny skrył się w nią, wiedząc dobrze, że gospodarz nie może znieść jego widoku i nie chcąc go przywodzić do gniewu.

Gospodyni schowała coprędzej jedzenie i wino do pieca, chciała bowiem uniknąć pytań męża.

— Co za szkoda! — westchnął Maciek, widząc to z góry.



— Kto tam siedzi na dachu? — spytał gospodarz, spoglądając na Maćka skrytego w cieniu. — Zejdź lepiej człeczce i chodź do izby.

Wdzięczny za zaproszenie, opowiedział Maciek gospodarzowi, że zmylił drogę i prosił o nocleg, ale mu odmówiono.

— Przenocuję cię, chłopcze! — rzekł dobry gospodarz. — Musimy też coś przekąsić.

Gospodyni powitała męża i gościa bardzo uprzejmie i zastawiła im wielką miskę kaszy. Gospodarz jadł z apetytem, bo był głodny, ale Maćkowi nie schodziło z myśli smaczne jedzenie ukryte w piecu.

Pod nogami, przy stole miał on worek z suchą skórą końską, którą chciał sprzedać w mieście. Nacisnął worek nogą, aż skóra zatrzeszczała.

— Cicho bądź! — rzekł, kładąc palec na ustach i depcząc znowu skórę, tak że skrzypnęła jeszcze głośniej.

— Cóż tam masz w tym worku? — spytał gospodarz.

— To czarodziej! — odparł Maciek. — Powiada, że nie potrzebujemy jeść kaszy, bo zaczarował cały piec pieczeni, ryby i pieczywa.

— Co ty mówisz? — zawołał gospodarz, otworzył piec i zobaczywszy przysmarki schowane przez żonę, zdumiał się wielce. Pewny był, że to dzieło czarodzieja. Gospodyni nie śmiała się sprzeciwić i postawiła zaraz wszystko na stole. Zaczęli smacznie zajadać, a po chwili Maciek na-deptał znowu skórę.

— Cóż mówi twój czarodziej? — spytał gospodarz.

— Powiada, że zaczarował jeszcze trzy flaszki doskonałego wina, które stoi również w piecu.

Gospodyni musiała przynieść wino. Popili i rozweselili się. Gospodarz zapragnął posiąść czarodzieja Maćkowego

— Czy umie on też wywoływać diabła? — spytał.

— Tak! — rzekł Maciek. — Czarodziej mój czyni wszystko, co chcę — prawda? — spytał zwracając się do worka. — Powiada, że tak. Ale nie warto oglądać diabła, jest on szkaradny.

— O, ja się nie boję! — powiedział gospodarz. — Chciałbym go nawet zobaczyć.

— Chce się ukazać dziś w postaci kościelnego.

— Huu! To naprawdę straszne! Musisz wiedzieć chłopcze, że znieść nie mogę widoku kościelnego! Ale to nic! Wiem teraz, że nie będzie to kościelny, ale diabeł, przeto jakoś wytrzymam. Tylko niech się do mnie nie zbliża zanadto.

— Spytam mego czarodzieja, — rzekł Maciek, nadeptał znowu worek i pochylił się, nadsluchując.

— Cóż mówi?

— Mówi, byście, panie gospodarzu u-

chylili wieka tej skrzyni, która stoi w kącie, a zobaczycie go. Tylko trzymajcie mocno wieko, by nie uciekł.

— Pomóżże mi! — powiedział gospodarz i wraz z Maćkiem uchyłili wieka skrzyni, w której siedział kościelny, kłapiąc zębami ze strachu.

— Ach! — krzyknął gospodarz, odskakując wstecz. — Widziałem go! Wygląda naprawdę zupełnie jak kościelny! To coś okropnego!

Oblali tę sprawę i pili późno w noc.

— Musisz mi sprzedać, chłopcze, swego czarodzieja, — oświadczył gospodarz.

— Nie mogę w żaden sposób! — zawołał Maciek. — Pomyślcieź tylko, ile mam zeń korzyści.

— Dam ci korzec srebra! — rzekł gospodarz. — Muszę go mieć koniecznie!

Nalegał tak długo, że Maciek rzekł w końcu:

— Byliście dla mnie dobrzy, gospodarzu, daliście mi nocleg, przeto się zga-

dzam sprzedać wam mego czarodzieja. Wezmę korzec srebra, ale musi być kopiaty.

— Będzie kopiaty i to z czubem! — odparł gospodarz. — Ale musisz sobie także zabrać tę skrzynię. Nie chcę jej mieć w domu, bo może tam jeszcze siedzi diabeł.

Maciek dał gospodarzowi swój worek ze skórą, a dostał kopiasto nasypyany korzec pieniędzy srebrnych. Gospodarz dał mu jeszcze ogromne taczki dla zabrania pieniędzy i skrzyni, a gdy ranek zaświtał, mały Maciek poszedł, pchając przed sobą z trudem pieniądze i kościelnego siedzącego w skrzyni.

Przed lasem płynął tak wartki strumień, że go przepłynąć było trudno.

Maciek zatrzymał się na środku mostu i rzekł do siebie głośno, tak, by słowa jego usłyszał kościelny:

— Cóż mi u licha po tej skrzyni!

Cięzka jest, jakby była pełna kamieni. Nie mam już sił! Cisnę ją przeto do wody! Jeśli dopłynie do domu, to dobrze, a jeśli nie, to i tak nie wielka strata.

Podjął skrzynię z jednej strony, jakby ją chciał zepchnąć w wodę.

— Daj spokój! — wrzasnął kościelny.
— Wypuść mnie!

— Hu! — zawołał Maciek niby to przerażony. — Diabeł siedzi jeszcze w skrzyni! Dalejże z nim do wody. Niech tonie szatańska bestia.

— Nie! Nie! — krzyknął znowu kościelny. — Puść mnie, a dam ci cały korzec srebra!

— A to co innego! — odparł Maciek i otworzył skrzynię.

Kościelny wylazł z niej, zepchnęli obaj skrzynię do wody, a potem poszli do domu, gdzie Maciek dostał korzec srebra. Miał teraz pełne taczki pieniędzy i był wielce uradowany.

— Dobrze sprzedałem końską skórę!
— powiedział sobie, dotarwszy do domu.
Wysypał pieniądze na podłogę i pomyślał.
— Wielki Maciek będzie zły, gdy się do-
wie, jak się zbożacilem przez jednego, je-
dynego konia. Ale nie powiem mu tego
wprost.

Zawołał wyrostka i posłał go do wiel-
kiego Maćka z prośbą o pożyczenie pół-
ćwiartka do mierzenia zboża.

— Na cóż mu to? — zadumał się wiel-
ki Maciek i wysmarował dno półćwiartka
smołą, chcąc poznać, co będzie mierzył,
wedle tego, co się przylepi do dna. Stało
się, że gdy dostał z powrotem półćwiar-
tek, na dnie jego ujrzał trzy wielkie
srebrne monety.

— Cóż to zaczy? — zawołał wielki
Maciek i pobiegł do małego Maćka. —
Skądże masz taką kupę pieniędzy? —
spytał go.

— Dostałem je za skórę końską, sprze-
daną, wczoraj wieczorem.

— A to doskonały interes! — rzekł wielki Maciek, pobiegł do domu, zabił pałką wszystkie cztery konie, zdjął z nich skórę i udał się do miasta.

— Skóry! Skóry! Kto kupi skóry? — wołał po ulicach.

Zbliżył się doń szewc i garbarz, pytając, ile za nie żąda.

— Korzec srebra za każdą! — odparł wielki Maciek.

— Czyś oszalał? — powiedzieli. — Czy sądzisz, że płacimy korcami srebra?

— Skóry! Skóry! — wołał dalej i żądał od każdego korzec srebra za skórę.

— Drwi sobie z nas! — zawołali szewcy, wzięli pocięgle i nabili porządnie wielkiego Maćka.

— Masz za skórę! Masz za skórę! — wołali. — Będziesz miał na własnej skórze centki zielone i żółte miast pieniędzy! A teraz precz z miasta!

Wielki Maciek umykał co siły. Takiego bicia nie dostał jeszcze nigdy w życiu.

— Odpląciysz mi za to, mały Maćku! — rzekł, przybywszy do domu. — Zabiję cię i basta.

Tymczasem małemu Maćkowi zmarła stara babka. Nie była dlań dobrą, złościła się często i lżyła go. Ale mimo to Maciek uczuł żal, położył zmarłą, do własnego łóżka i nakrył ciepło, sądząc, że może jeszcze odzyska życie. Tak miała spędzić noc, a następnie siadł w kąciu na stołku i zdrzemnął się, jak to już czynił nieraz podczas choroby staruszki.

W nocy otwarły się nagle drzwi. Wszedł duży Maciek z siekierą w ręku. Wiedząc, gdzie stało łóżko małego Maćka, poszedł doń prosto i zadał cios w głowę zmarłej babce małego Maćka; myślał, że zabija jego samego.

— Masz zapłatę, — powiedział. — Teraz nie będziesz już mnie oszukiwał!

Potem odszedł do domu.

— Zły to człowiek! — rzekł sobie mały Maciek. — Sądził, że mnie zabija, a u-

derzył jeno zmarłą babkę. Dobrze się stało, że już nie żyła, inaczej bowiem byłby ją na miejscu uśmiercił.

Mały Maciek ubrał nieboszczkę w odświętną odzież, pożyczył od sąsiada konia, zaprzągnął go, posadził babkę na tylnym siedzeniu, tak by nie spadła i ruszył przez las. Słońce dogrzewało mocno, to też Maciek zatrzymał się przed gospodą w celu pokrzepienia sił.

Właściciel gospody był to wielki bogacz i człek dobry, jeno tak popędliwy, jakby był wypchany papryką i tabaką.

— Dzień dobry! — powitał Maćka — Cóżto, widzę, od samego rana przybrałeś się odświętnie.

— Jadę do miasta z babką, — odparł Maciek — siedzi ona we wozie i zejść nie może. Raccie jej wynieść, panie gospodarzu szklanekę miodu. Ale mówcie głośno, bo nie dosłyszy.

— Dobrze! — rzekł gospodarz. — Nał do szklanicy miodu i wyszedł do zmar-

łej, która siedziała wyprostowana na wozie.

— Macie tu szklanę miodu od wnuka!
— zawołał. Ale zmarła nie rzekła ani słowa i nie ruszyła się wcale.

— Czy słyszycie? — krzyknął na całe gardło. — Oto szklanka miodu dla was!

Powtarzał to raz po raz, a gdy zmarła nie ruszyła się z miejsca, wpadł w złość i cisnął jej szklanę w twarz. Po tym ciósie zwłoki przewaliły się naprzód, gdyż nie były przywiązane do siedzenia.

— A to co!? — zawołał mały Maciek, wybiegając z gospody i chwytając gospodarza za gardło. — Nikczemniku! Zamordowałaś mi babkę! Patrz, jaką ma dziurę na czole!

— Ach, cóż za nieszczęście! — zawołał gospodarz, wznosząc ręce. — Wszystkiemu winna moja popędliwość. Dobry, kochany Maćku, milcz o tym, co się stało, bo mi utną głowę, a to rzecz bardzo nie-

miła. Dam ci korzec srebra i pochowam twą babkę jakby własną.

Maciek dostał cały korzec srebra, a gospodarz pochował jego babkę jakby własną.

Przybywszy do domu z pieniędzmi, posłał zaraz mały Maciek do wielkiego z prośbą o pożyczenie półćwiartka.

— Cóż to znaczy? — zdziwił się wielki Maciek. — Wszakże go zabiłem! — To powiedziawszy, pobiegł sam z półćwiartkiem zobaczyć, co się dzieje.

— Skądże masz tyle pieniędzy? — spytał, wytrzeszczając oczy.

— Zabiłem nie mnie, ale moją babkę. Wziąłem ją na wóz i sprzedałem za korzec srebra, — odparł mały Maciek.

— A to doskonały interes! — powiedział wielki Maciek, wrócił do domu, zabił ciosem siekiery swoją babkę, włożył ją na wóz i pojechał do miasta, do aptekarza,

pytając, czy nie potrzebuje martwego człowieka.

— Któż to jest i skądęście wzięli trupa, gospodarzu? — spytał aptekarz.

— To moja babka, — odparł — zabiłem ją i przywiozłem sprzedać za korzec srebra.

— Na miłość boską! Chyba bredzicie w gorączce, gospodarzu! — zawołał aptekarz. — Nie wygadujcie takich rzeczy, bo przypłacicie to utratą głowy!

Zbeształ go należycie, wykazał, jakiej dopuścił się zbrodni, jaki zeń zły człowiek i na jaką zasłużył karę. Wielki Maciek przeraził się wielce. Wypadł z apteki, skoczył na wóz, zaciąwszy konie, czmychnął z miasta. Pozwolono mu odjechać, gdyż wszyscy sądzili, że zwariował i mówi od rzeczy.

— Odplacisz mi za to! — zawołał znalazłszy się na gościńcu. — Dam ja ci nauczkę, mały Maćku.

Przybywszy do domu, wyszukał naj-

większy wór, jaki miał, poszedł do małego Maćka i rzekł:

— Szkaradnie mnie podszedłeś, mały Maćku! Naprzód pozabijałem konie, potem zamordowałem babkę. Wszystko to twoja wina! Ale przyszła kryska na Matyska. Już mnie nie będziesz zwodził.

Powiedziawszy to, porwał małego Maćka, wsadził w wór, zawiązał i wziął na plecy, chcąc go utopić.

Droga wiodła obok kościoła i było dość daleko do strumienia. Mały Maciek był ciężki. Toteż spocił się rychło wielki Maciek i postawił wór, oparłszy go o mur kościelny. Przyszło mu też na myśl, że nieźleby było wstąpić i zaśpiewać Panu Bogu bodaj jeden hymn dla uproszenia przebaczenia grzechów. Mały Maciek nie mógł się sam wymknąć, a pomoc mu nie mógł nikt, gdyż wszyscy byli w kościele. Po namyśle wszedł do środka.

Mały Maciek kręcił się w worze i biał, bo nie mógł się wydobyć. Naraz nad-

54. DUŻY MACIEK I MAŁY MACIEK

szedł stary pasterz siwowłosy, pędząc przed sobą trzodę krów i wołów. Zwierzęta potrafiły worek z Maćkiem, tak że się przewrócił.

— O, biada mi! — zapłakał Maciek. — Taki jestem jeszcze młody, a już muszę iść do nieba!

— A jam już taki stary, a nie mogę się tam dostać! — odparł pasterz.

— Rozwiąż wór i wejdź weń zamiast mnie, a zaraz dostaniesz się do nieba! — powiedział mały Maciek.

— Uczynię to z radością! — zawołał pasterz i wypuścił go z wora. — Musisz za mnie pilnować bydła! — dodał jeszcze pasterz, poczym wlaź w wór, Maciek go zawiązał, a potym ruszył z trzodą.

Niedługo wyszedł wielki Maciek z kościółka i wziął wór na plecy. Wydał mu się dużo lżejszy, gdyż stary pasterz i połowy tyle nie ważył, co mały Maciek.

— Jakże mi teraz lekko! — powiedział

sobie. — To nagroda za to, że byłem na nabożeństwie.

— Doszedł do strumienia, rzucił w wodę pasterza i zawołał, myśląc, że to mały Maciek:

— Skończyły się twoje żarty!

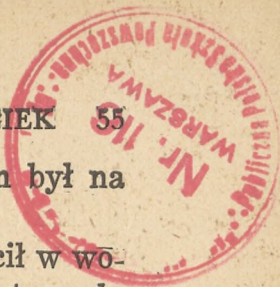
Zawrócił do domu, ale na rozstaju spotkał małego Maćka pędzącego bydło.

— Cóż to znaczy? — spytał. — Wszakże cię utopiłem przed chwilą!

— To prawda! Przed chwilą rzuciłeś mnie do strumienia!

— Skądżeś więc wziął to piękne bydło?

— To jest bydło wodne! — odparł mały Maciek. — Opowiem ci całą historię. Przedewszystkiem dziękuję ci bardzo, że mnie utopiłeś, bo oto teraz żyję znowu i jestem niezmiernie bogaty. Bałem się ogromnie, gdy siedział w worze, a jeszcze bardziej, gdyś mnie cisnął do wody. Poszedłem zaraz na dno, ale nie stało mi się nic złego, bo tam rośnie wysoka, miękka trawa. Gdy tylko spoczął na dnie,



rozwiązano zaraz worek, zjawiała się prześliczna dziewczica w białych szatach z zielonym wieńcem na głowie, wzięła mnie za rękę i powiedziała: — Witam cię, mały Maćku! Oto na początek daję ci to bydło. O milę stąd pasie się przy drodze cała ogromna trzoda. Weź ją sobie także. Przekonałem się, że strumień stanowi wielki gościniec ludu wodnego. Po dnie chodzili i jeździli ludzie od strony morza, aż w głąb łądu do samych źródeł strumienia. Sliczne kwiaty kwitły wszędzie i zieleń się trawa, a ryby, niby ptaki powietrzne przelatowały mi błyskawicznie koło uszu. Piękni byli ludzie, ale najpiękniejsze jeszcze bydło, pasące się po rowach przydrożnych i łąkach.

— Czemu wylazłeś tak prędko na wierzch, skoro tam tak ładnie na dnie? — spytał podejrzliwie wielki Maciek.

— Spryciarz jestem! — odparł, śmiejąc się mały Maciek. — Słyszałeś przecież, że dziewczica wodna powiedziała, jako

o milę stąd czeka przy drodze ogromna trzoda bydła. Pod nazwą drogi rozumie strumień oczywiście, bo nic innego nigdy nie widziała. Tedy ruszyłem po bydło, że zaś, jak wiesz, strumień tworzy mnóstwo zakrętów, przeto, chcąc sobie oszczędzić jakie pół milki, wybrałem łąd i idę na przelaj. Rozumiesz? Chcę się poprostu jak najprędzej dostać do swojej trzody.

— Szczęśliwy z ciebie człowiek! — powiedział wielki Maciek. — Czy myślisz, że i ja dostałbym bydło wodne, gdybym się znalazł na dnie strumienia?

— Zapewne! — odparł mały Maciek.

— Ale nie mogę cię dźwigać na plecach, bo jesteś zbyt ciężki. Jeśli atoli sam pójdziesz i wleziesz w worek, to zepchnę cię do wody z miłą chęcią:

— Dziękuję! — rzekł wielki Maciek. — Ale pamiętaj, jeśli nie dostanę bydła, gdy stanę na dnie, to cię spierę na kwaśne jabłko! Bądź pewny!

— Nie! Nie bądźże taki porywczy! — prosił mały Maciek.

Niebawem dotarli do strumienia. Bydło zobaczywszy wodę, pobiegło raźnie na-przód, a mały Maciek rzekł:

— Widzisz, jak im spieszno zejść na dno strumienia.

— Pomóżże mi! — powiedział wielki Maciek i wlaź w wielki wór, przewieszony dotąd przez grzbiet jednego byka. — Włóż także wielki kamień, gdyż obawiam się, że nie pójdę zaraz na dno.

— Jakoś to będzie! — odparł mały Maciek, włożył na dno wora duży kamień, zawiązał wielkiego Maćka, podparł wór plecami i... bęc!... wielki Maciek wpadł w wodę. Poszedł zaraz na dno

— Obawiam się trochę, że nie dostanie bydła! — pomyślał mały Maciek i zawrócił ze swą trzódką spokojnie do domu.

ZIARNKO GROCHU

Był sobie raz pewien książę, który chciał pojąć za żonę księżniczkę, ale żądał, by to była księżniczka prawdziwa. Jeździł po całym świecie i szukał jej, ale zawsze coś stawało na przeszkodzie. Nie brakło co prawda księżniczek, nie mógł się jednak nigdy przekonać, czy to były księżniczki prawdziwe i zawsze miał wątpliwości. Nie znalazłszy tej, której szukał, wrócił do domu smutny i zniechęcony.

Pewnego wieczoru rozszalała się burza. Błyskało i grzmiało, a deszcz lał strumieniem. Nagle zapukano do bramy miasta, a stary król poszedł otworzyć. Przed bramą stała księżniczka, ale jakże strasznie wyglądała. Woda ściekała jej z włosów i sukni, lała się do trzewików i wycyrykiwała z ich końców w górę. Oświad-

czyła, że jest tą prawdziwą, poszukiwaną księżniczką.

— Ano, przekonamy się zaraz! — pomyślała stara królowa, ale nie rzekła nic.

Poszła do sypialni, zdjęła z łóżka całą pościel, położyła na deskach ziarnko grochu, przykryła je dwudziestu materacami, a potem ułożyła na nich jeszcze dwanaście puchowych pierzyn, jedną na drugiej.

Tu umieszczono na noc księżniczkę.

Rano spytała królowa, czy dobrze spała.

— O nie! — odparła. — Przez całą noc nie zmrużyłam oczu. Leżałam na czymś strasznie twardym, tak że całe ciało mam posiniaczone i obolałe. Straszna miałam noc.

Po tym poznano, że jest to prawdziwa księżniczka, albowiem czuła ona ziarnko grochu przez dwadzieścia materaców i dwanaście puchowych pierzyn. Tak deli-

katną mogła być tylko prawdziwa księżniczka.

Książę, przekonany o jej prawdziwości, wziął ją za żonę, zaś ziarnko grochu umieszczono w państwowych zbiorach osobliwości i jest tam jeszcze pewnie, o ile go ktoś nie zabrał.

Historia ta zdarzyła się naprawdę.

NOWE SZATY CESARZA.

Przed dawnymi laty żył pewien cesarz, tak dbały o piękny strój, że wydawał wszystkie pieniądze, jakie miał, by tylko chodzić wytwornie ubrany. Sprawy woj-skowe, polowania czy wycieczki interesowały go tylko o tyle, o ile mu dawały sposobność pokazania się we wspaniałych sukniach. Miał na każdą godzinę dnia inną szatę i nie powiadano o nim: — „cesarz znajduje się na radzie koronnej“, — ale: — „cesarz siedzi w gotowalni.

Stolica państwa była miastem ruchliwym i przybywali tam liczni cudzoziemcy. Pewnego dnia zjawili się tam dwaj oszuści, udający tkaczy i oświadczyli, że umieją tkać materię najpiękniejszą w świecie. Materia ta miała się nie tylko odznaczać przedziwnym wzorem i barwami, ale posiadała jeszcze tę właściwość, że

człowiek głupi, albo niezdatny do swego zawodu nie dostrzegał jej wcale.

— Takich mi szat potrzeba! — zawołał cesarz. — Mając je, będę mógł dowiedzieć się, którzy z mych urzędników nie nadają się do służby, będę mógł odróżnić głupich od mądrych. Natychmiast trzeba przywołać tych tkaczy i kazać im brać się do roboty.

Uczył tak i dał oszustom dużą kwotę, jako zaliczkę.

Postawili w jednej z komnat dwa warsztaty i zaczęli tkać, ale na warsztatach tych nie było nic, ani wątku, ani osnowy, słowem były puste. Mimoto tkacze dopomnieli się ciągle o najprzedniejszy jedwab i złote nici, potrzebne do roboty. Chowali to wszystko oczywiście do kieszeni, ale pracowali przy pustych warsztatach do późnej nieraz nocy.

— Muszę zobaczyć, jak postępuje robota! — rzekł do siebie cesarz. Ale zaraz go ogarnął strach na myśl, że jest człowie-

kiem głupim i niezdatnym do swego urzędu i nie zobaczy owej materii. Po namyśle obrał też inną drogę. Nie poszedł sam, ale wysłał do tkaczy najstarszego i najzdolniejszego ze swych ministrów.

— On najlepiej oceni tę tkaninę! — powiedział sobie w duchu. — Jest wszakże mądry i przez długie lata pełnił swe obowiązki w sposób znakomity.

Pocziwy, dobroduszny minister poszedł do tkaczy, pracujących niezmqordowanie przy pustych warsztatach i stanął zdumiony wielce. Otworzył oczy szeroko i przez długi czas nie mógł przyjść do siebie.

— Cóż to? — pomyślał — nic nie widzę!

Ale nie rzekł słowa.

Oszuści poprosili, by się zbliżył i, wskazując puste warsztaty, zaczęli wychwalać tkaninę. Minister musiał podziwiać wspaniałe wzory, wyszycia i barwy. Mruczał, kiwał głową, potakiwał i coraz bardziej

wytrzeszczał oczy, ale nie mógł niczego dostrzec, bo nic nie było.

— Boże wielki! — pomyślał. — Czyżbym był głupi i niezdolny do urzędu mego? Nie wiedziałem tego dotąd i nikt się tego nawet domyśleć nie może. W żaden sposób nie mogę się przyznać, że nie widzę tkaniny.

— Pragnęlibyśmy postyszeć zdanie pańskie! — powiedzieli oszuści.

— O...O... śliczna rzecz! — odparł, wkładając okulary. — Wspaniałe wzory, cudne barwy! Tak.. tak, powiem cesarzowi, że mi się ta tkanina niezmiernie podoba.

— Bardzo nas to cieszy! — rzekli oszuści i ponownie objaśniać zaczęli, jakie są to wzory, wyszycia i barwy, nazywając wszystko właściwym mianem, tak by patrzącemu utkwilo wszystko dobrze w pamięci.

Minister słuchał pilnie, by mógł to

wszystko powtórzyć cesarzowi i tak też uczynił.

Oszuści zażądali natychmiast jeszcze więcej jedwabiu, pieniędzy i złotych nici, mówiąc, że potrzebują tego dla dalszego wyrobu tkaniny. Oczywiście przywłaszczyli sobie te rzeczy, a warsztaty pozostały dalej puste. Mimo to pracowali wciąż gorliwie po całych dniach i nocach.

Cesarz posłał niedługo potem drugiego zaufanego urzędnika, by skontrolował postęp roboty i dowiedział się, kiedy tkanina będzie gotowa.

Stało się z nim to samo, co z pierwszym posłańcem. Patrzył i patrzył, ale prócz pustych warsztatów niczego dojrzeć nie mógł, bowiem nic nie było.

— Nieprawdaż, że tkanina nasza jest niezrównana! — pytali, on zaś myślał:

— Głupi nie jestem, przeto widocznie nie nadaję się do urzędu mego. Ale, na Boga, nie mogę przecież urzędu utracić!

Nie mówiąc przeto prawdy, zaczął wy-

chwalać tkaninę nie istniejącą, zachwycając się pięknymi wzorami i barwami. Potem wrócił do cesarza i powiedział:

— Rzeczywiście, rzecz to prześliczna!

Od tej pory wszyscy w stolicy mówili tylko o precudnej tkaninie cesarskiej i zachwycali się nią naprzód.

W końcu zapragnął sam cesarz zobaczyć tę rzecz przedziwną, póki jest jeszcze na warsztacie.

Wraz z owymi dwoma zaufanymi urzędnikami swymi i wielką świtą dworzan udał się do sprytnych oszustów, którzy tkali niezmordowanie niewidzialną materię.

— Prosimy Waszą Cesarską Mość zwrócić uwagę na precudne wzory, delikatność wyrobu i niedoścignione barwy! — mówili ci dwaj, których cesarz wysłał przed tym, przytym wskazywali na puste warsztaty, pewni, że inni muszą chyba coś widzieć.

— Cóż to? — pomyślał cesarz. — Nie

widzę nic! To straszne! Czyżbym był głupi i niezdolny na cesarza? Nie sposób wyobrazić sobie czegoś takiego!

— Oo!... rzeczywiście piękna rzecz! — powiedział głośno. — Wyrażam panom moje cesarskie uznanie.

Skinął głową, patrząc na puste warsztaty i nie przyznał się, że nie widzi nic a nic.

Cały orszak cesarza spoglądał również, ale nikt z pośród dworzan nic nie widział. Każdy był natomiast pewny, że widzą inni, a nadewszystko, że widzi sam cesarz. Toteż ozwali się pochwalnym chórem, a kilku wystąpiło z radą, by cesarz wystąpił w szatach z tej materii na uroczystym obchodzie, jaki miał się odbyć niedługo.

— Niezrównane! Cudne! Wspaniałe! — takie wykrzyki rozlegały się wokoło, a wszyscy byli wielce uradowani.

Cesarz nadał obu oszustom krzyże rycerskie oraz tytuł tajnych cesarskich ткаczów.

W dniu, kiedy miał się odbyć uroczysty obchód, tkacze pracowali przez całą noc przy jarzącym oświetleniu mnóstwa świec. Całe miasto widziało to światło i podziwiała gorliwość, z jaką krzątali się tkacze koło sporządzenia szat cesarskich.

Oszuści udawali, że zdejmują tkaninę z warsztatów, ciąli w powietrzu wielkimi nożycami, szyli igłami bez nitek i w końcu o świcie oświadczyli, że wszystko gotowe.

Cesarz przyszedł powtórnie wraz z najwyższymi dworzanami, a oszuści podnosili ramiona, mówiąc:

— Oto spodnie! Oto surdut! Oto płaszcz! Wszystko delikatne, niby pajęczyna i lekkie niesłychanie. Wydawać się może, że człowiek nie ma nic na sobie. To główna zaleta!

— O tak! — zawołali chórem dworzanie, chociaż nic a nic nie było.

— Raczy teraz Wasza Cesarska Mość zdjąć swe dotychczasowe szaty! — po-

wiedzieli oszuści. — Tu przed tym wielkim zwierciadłem przybierzemy sami Waszą Cesarską Mość.

Cesarz zdjął ubranie, a oszuści udawali, że nań wdziewają jedną po drugiej różne części paradnego stroju. Brali go w pół, nibyto coś przywiązując. Miał to być tren płaszcza. Cesarz dał z sobą robić wszystko i obracał się przed lustrem w różne strony.

— O, jakie wspaniałe szaty! Jak doskonałe leżą! Co za wzory, co za barwy! To coś niesłychanego! — wołali dworzanie.

— Baldachim czeka już na Waszą Cesarską Mość! — zawiadomił mistrz ceremonji.

— Już jestem gotów! — rzekł cesarz po raz ostatni, przeglądając się w lustrze.

Podkomorzowie, mający nieść tren płaszcza, sięgnęli rękami ku podłodze nibyto podnosząc go, potym wyciągnęli ramiona sztywo przed siebie, nie zdradzając wcale, iż nic nie widzą.

Cesarz kroczył tak w uroczystym pochodzie pod złocistym baldachimem, a ludzie zebrani po ulicach i patrzący z okien, wołali gromko:

— O nieba! Jakież niezrównane są nowe suknie cesarza! Cóż za cudny tren ma u płaszcza! Jakże wszystko dobrze leży!

Nikt się nie chciał przyznać, iż nic nie widzi, gdyż okazałoby się, że nie jest zdany do urzędu i że jest w dodatku straszliwie głupi. Nowe suknie cesarza zachwyciły całą ludność stolicy.

— Ależ on nic nie ma na sobie! — zawołało nagle jedno małe dziecko.

— Oto głos niewinności! — szepnął ojciec dziecka, potym zaś zaczęto powtarzać szeptem te słowa.

— Jakieś dziecko powiada, że cesarz nic nie ma na sobie! — szło co raz to dalej w okół.

— Nic nie ma na sobie! — krzyknął wreszcie cały lud.

Zmartwiło to bardzo cesarza, bo sam

on przypuszczał, że lud ma słuszość, ale pomyślał:

— Nie ma innej rady, jak wytrzymać do ostatka.

Potym przybrał jeszcze dumniejszą postawę i poszedł dalej a podkomorzowie dźwigali jeszcze uroczyściej tren płaszcza, którego wcale nie było.

IGŁA DO CEROWANIA.

Pewna igła do cerowania była tak cienka i ostra, że wyobraziała sobie, iż jest igłą do szycia.

— Trzymajcie mnie dobrze! — mówiła palcom, które ją podjęły ze stołu. — Nie puśćcież mnie, na Boga! Gdy spadnę na ziemię, nikt mnie już znaleźć nie zdoła, jestem bowiem niezmiernie cienka.

— Nie chwalno się tak bardzo! — odparły palce i objęły ją mocniej w pół.

— Oto moja świta! — zawołała igła, wlokąc za sobą długą nić, która nie miała jednak węzélka na końcu.

Palce wbiły właśnie igłę w pantofel kucharki, którego przyszwą oderwała się od podeszwy i musiała być zeszyta.

— To jest upadlająca praca! — powiedziała igła. — Przytym nie przejdę za nic na drugą stronę. Złamię się! Złamię

się napewno! — i w samej rzeczy pękła. — Ach! — biadała. — Wszakże mówiłam zawsze, że jestem zbyt delikatna!

— Na nic się już teraz nie zda! — orzekły palce. Trzymały ją jednak dalej, kucharka zrobiła jej łebek z laku i wetknęła w chustkę na szyi.

— Patrzcież! Jestem teraz szpilką paradną! — rzekła igła. — Wiedziałam dobrze, że spadną na mnie zaszczyty!

Zaśmiała się wewnątrz, ale nie było tego widać, bo trudno spostrzec w istocie, gdy się igła śmieje. Tkwiła w chustce pyszna i dumna, jakby siedziała w karecie i rozglądała się na wszystkie strony.

— Pozwolę sobie zadać pytanie, czy jesteś ze złota? — powiedziała sąsiadująca z nią zwykła szpilka.

— Masz miłą powierzchowność! — przyznała łaskawie sąsiadce zapytana. — Masz nawet własną głowę, choć, co prawda dość małą. Postaraj się, by wyrosła,

bo wszystkim nie można przecież robić głów z laku.

Powiedziawszy to, podniosła się igła w górę i wypadła z chustki; właśnie w chwili, kiedy kucharka wylewała pomyje do zlewu!

— Udajemy się w podróż, — powiedziała sobie igła. — Ciekawam dokąd?

Niebawem utknęła w kanale i rzekła z westchnieniem:

— Za dobra jestem dla tego świata! Ale mam czyste sumienie, a to nie mała pociecha.

To ją podtrzymało i nie straciła męstwa.

Ponad nią przepływały różne rzeczy, kawałki drzewa, słoma i papier gazetowy.

— Oto płyną, — mówiła sobie igła — a nie wiedzą, co pod nimi tkwi. To ja właśnie tkwię pod tym wszystkim. Patrzcież, płynie kołek i nie myśli o niczym innym, jak o takich samych jak on kołkach. Tam znów dźbło słomy. O! Jakże się kręci i

obraca w kółko! Nie myśl tak dużo o sobie, bo uderzysz o kamień! Tam znów żegluje gazeta. Zapomniała dawno, co donosiła, a jak się pyszni i panoszy! Ja tkwię cierpliwie i siedzę cicho, bo wiem, czym jestem i basta!

Pewnego dnia spostrzegła obok siebie jakiś błyszczący przedmiot. Sądziła, że to diament, ale był to tylko kawałek szkła. Ponieważ błyszczał, zagadnęła go i przedstawiła się jako szpilka paradna.

— Pan zapewne diament? — spytała.

— Tak, coś w tym rodzaju! — odparł.

Uznali się oboje za kosztowne przedmioty i zaczęli rozmawiać o zarozumiałości, panującej teraz w świecie.

Igła mówiła:

— Mieszkałam w szkatułce pewnej pannenki, która była kucharką. Miała ona u każdej dłoni pięć palców. Były one tak zarozumiałe, że trudno sobie to wyobrazić. A jednak wszystkie służyły tylko do tego,

by mnie trzymać, wyjmować ze szkatułki i wkładać mnie z powrotem.

— Czy odznaczały się te palce połyskiem? — spytał ułamek szkła.

— Połyskiem? — zdziwiła się igła. — O nie! Raczej zarozumiałością! Było to pięciu braci z rodziny Paluszków i stali obok siebie dumnie wyprostowani, chociaż różnili się wzrostem. Pierwszy z brzegu zwał się kciuk, był krótki i gruby. Nie stał w szeregu, ale z boku i miał tylko dwa stawy w grzbiecie. Mógł się tylko w jedną stronę kłaniać, ale twierdził butnie, że człowiek, któremu by go odcięto, wolnym będzie od służby wojskowej. Drugi Lizigarnek, wtykał się we wszystko, co słodkie, czy kwaśne, wskazywał na słońce i księżyc i naciskał pióro podczas pisania. Trzeci drągał przerastał wszystkich braci. Pierścionecznik nosił stałą przepaskę, a ostatni, Nierobek, nie robił nic i był z tego wielce dumny. Wszystko

to była pycha i nic więcej, dlatego też skoczyłam do kanału.

— Siedzimy sobie tu razem i błyszczymy! — powiedział ułamek szkła.

Nagle napłynęła falą woda, wypełniła kanał i porwała szkło z sobą.

— Ruszył dalej w świat! — powiedziała sobie igła. — Ja natomiast tkwię i tkwię na jednym miejscu i to właśnie jest wielce dostojne.

Tkwiła dalej i rozmyślała:

— Jestem tak subtelna, że chyba promień słońca wydał mnie na świat, toteż słońce ciągle szuka mnie pod wodą. Ach, jestem tak subtelna, że własna matka znaleźć mnie nie może. Gdybym miała jeszcze oczko, które odpadło, ręczę, że rozplakałabym się z rozczulenia... Chociaż nie... nie wypada płakać istotom wykwin-tnym.

Pewnego dnia ulicznicy bawili się nad kanałem i zaczęli w nim grzebać, szukając starych gwoździ i miedziaków. Nie

była to ładna zabawa, ale sprawiała im przyjemność.

— Au! — krzyknął jeden z nich, u-
kłuwszy się w palec. — A to szelma.

— Nie jestem szelma, tylko szpilka! —
odparła igła, ale nikt tego nie usłyszał.
Główka z laku odpadła, mimo to jednak
igła uważała się dalej za szpilkę paradną
i to jeszcze wykwintniejszą, niż przedtym.

— Napływa skorupka z jajka! — po-
wiedzieli chłopcy, a potem wetknęli igłę
mocno w skorupkę.

— Białe ściany, a jam czarna. Do
twarzy mi z tym! — rzekła igła. — Moż-
na mnie teraz zobaczyć. Obym jeno nie
dostała morskiej choroby, bo wówczas
pękne jeszcze raz.

Ale nie zachorowała i nie pękła.

— Dobrze robi na morską chorobę, gdy
się ma stalowy żołądek, a przytym ciągle
pamięta, że się jest czymś więcej, niż czło-
wiek. Minęło mi to... Zaprawdę, im

się jest subtelniejszą istotą, tym więcej można znieść.

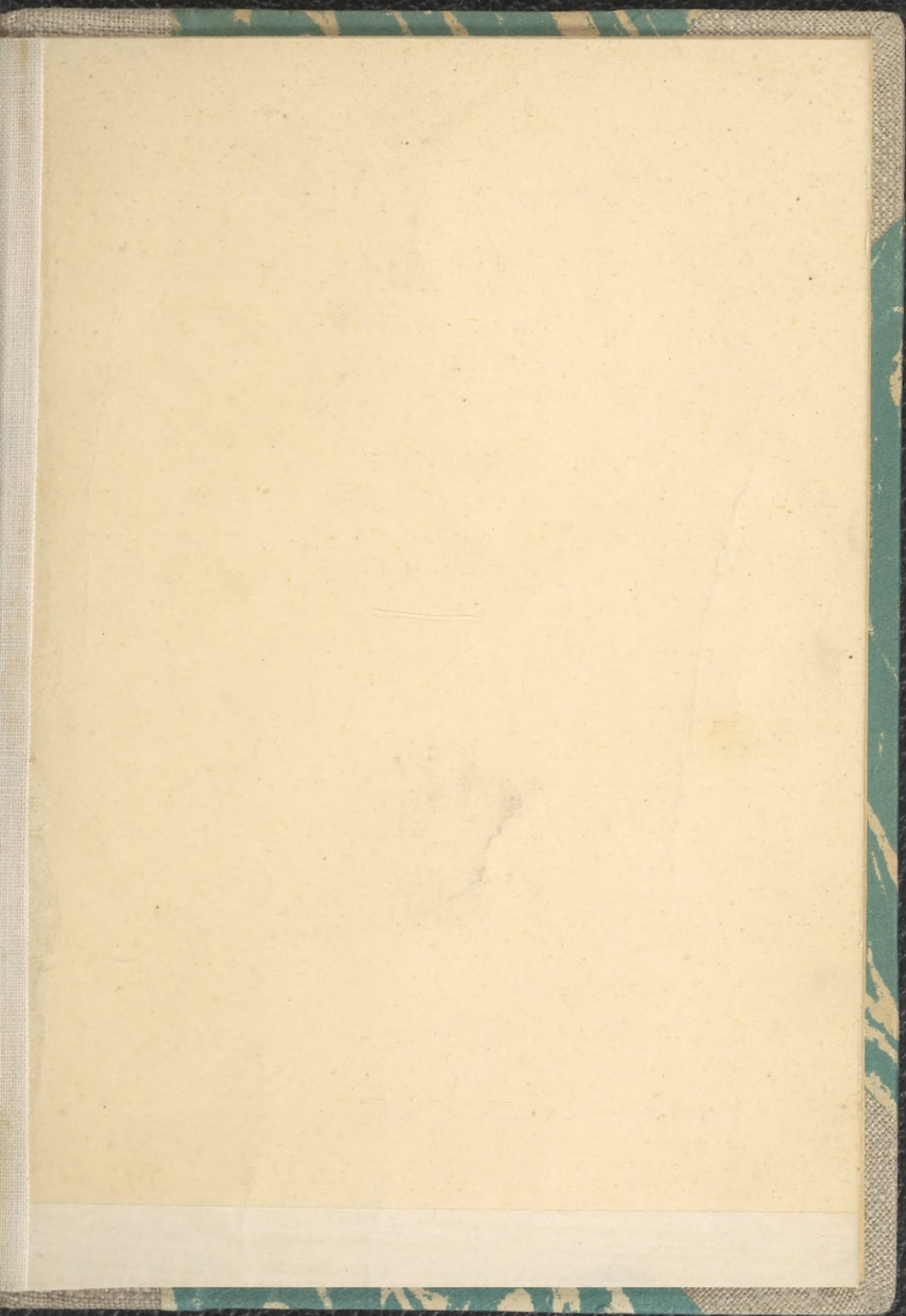
— Krach! — wrzasnęła nagle skorupka, gdyż zmiążdżył ją wóz ciężarowy.

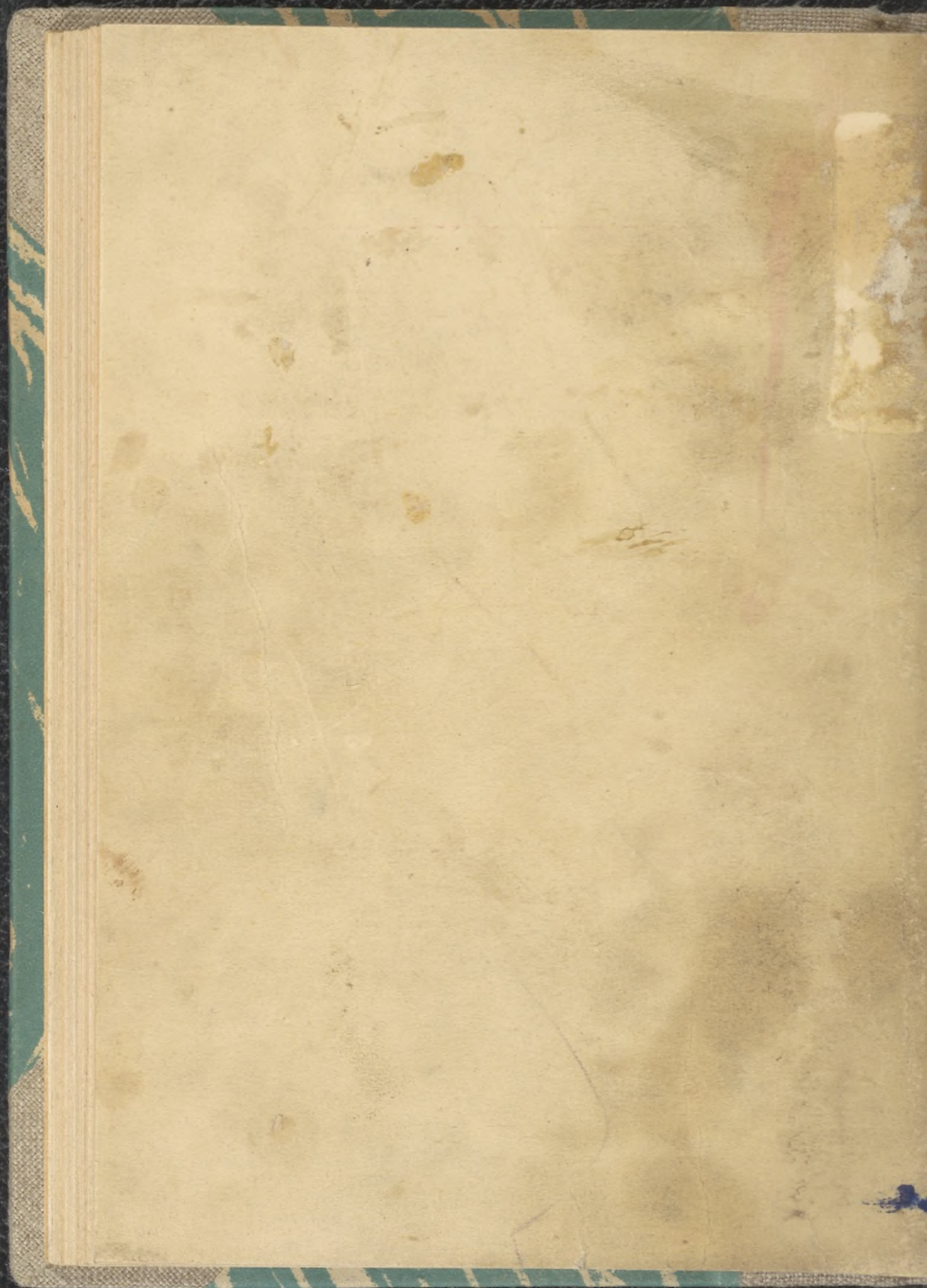
— Ach! Jakże to gniecie! — westchnęła igła. — Napewno dostanę morskiej choroby i pęknę... pęknę!

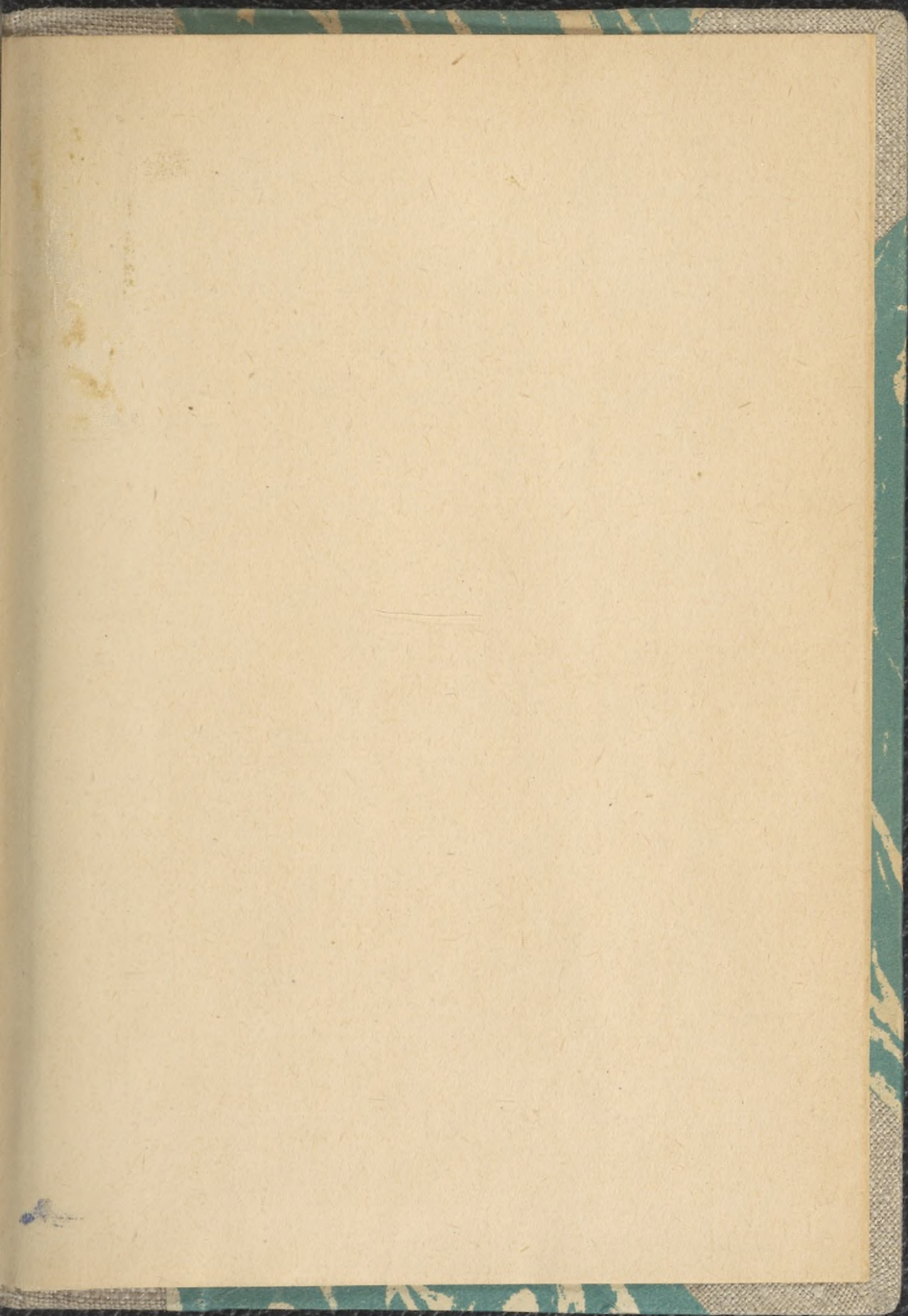
Ale nie pękła, mimo, że ją przejechał wóz ciężarowy. Leżała jak długa i... niechże sobie dalej leży.



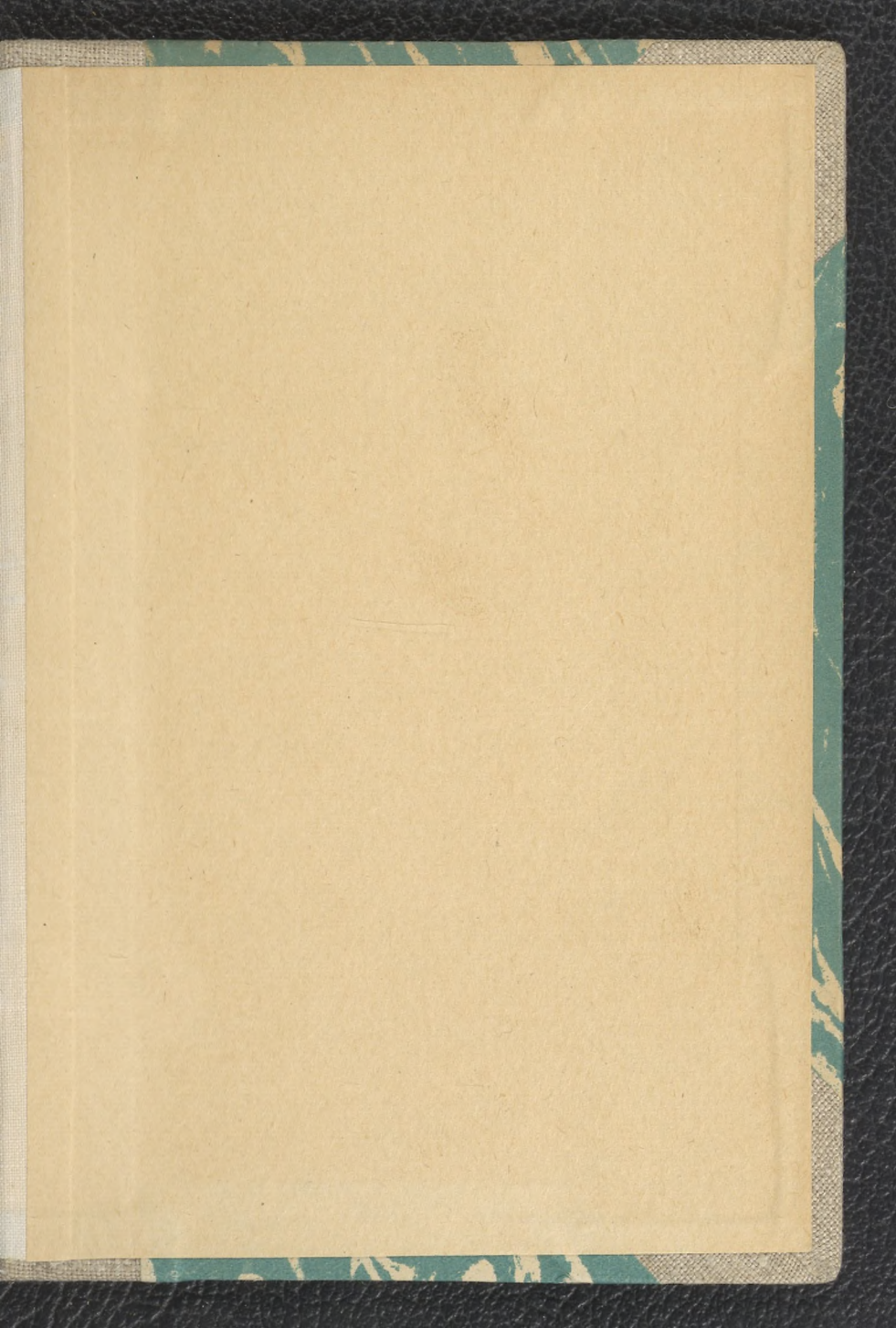
ss







J. K.





410582

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001005415734